



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50. Przedpłata musi być naprzód opłaćana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencje adresować należy: { W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.  
All communications must be addressed:

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

### APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty” i zalecam takowe jaknajgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,  
Arcybiskup Chicagowski.

### KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI.
Czwartek, 2 lutego	Oczyszczenie N. M. P.	Miłostawa.
Piątek, 3 lutego	Błażeja B. M.	Błażej.
Sobota, 4 lutego	Ansgarego B.	Witosława.
Niedziela, 5 lutego	Miesopustna. Agaty P.M.	Dobrochna.
Poniedziałek, 6 lutego	Doroty P. M.	Bochdana.
Wtorek, 7 lutego	Romualda Opata.	Szulisław bł.
Sroda, 8 lutego	Jana z Maty Wyzn.	Gniewomir bł.

### Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

### NA NIEDZIEŁĘ PIĄTĄ PO TRZECH KROLACH

*Ewangielia św. Mateusza w rozdz. XIII. od w. 24 do 31.*

W owym czasie mówił Jezus do ludu to podobieństwo: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi, który posiał dobre nasienie, na roli swojej. A gdy ludzie spali przyszedł nieprzyjaciół jego, i nasiał kłkół między pszenicą i odszedł. A gdy urosła trawa, i czyniła owoc; tedy się pokazał i kłkół. A przystąpiwszy słudzy gospodarscy, rzekli mu: Panie, iżaliś nie posiał dobrego nasienia na roli twojej? Zkąd tedy kłkół ma? I rzekł im: Nieprzyjaczny człowiek to uczynił. A słudzy rzekli mu: Chcesz, abyśmy poszli i wyrwali go? A on rzekł: Nie, abyście snadź zbierając kłkół, nie wykorzenili wraz z nim i pszenicy. Dopuszczcie rość obojgu aż do żniwa, a w czasie żniwa rzekę żeńcom: Zbierzcie pierwaj kłkół i zwiążcie go w snopki na spalenie, a pszenicę zgromadźcie do gumna mego.



## Łeki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

### I.

Jako trawa wszyscy ludzie, a wszystka  
ich piękność jako kwiatek polny.

Jezajasz Prorok.

Kiedy śmierć niespodzianie kogo przed oczyma twemi schwyci za czuprynę, jak anioł Habakuka, i porywa go z ziemi, co się tak ma rozumieć, że kiedy ktoś nagle umiera w twym własnym domu, albo u sąsiada, albo kiedy stoisz nad łóżkiem konającego i przypatrujesz się temu, co on to robi, to jest, jak on kona i pasuje się z śmiercią, albo kiedy tobie samemu śmierć zajrzy w oczy, kiedy cię kolki zdejmą w piersiach i ograża cię jakby nerwowa febra; wtedy ogarnia duszę twoję przerażenie, wtedy owiewa cię jakby zgniełe powietrze z starych grobów, którebyś po wielu latach otworzył. I niemasz rady na takie strachy śmierci? Jużcić jest i nie jedna, ale cóż, kiedy wszystkie nie wiele co znaczą. Weźmy przykład. Ten oto nic a nic się nie boi śmierci. Ale dla czego? Ja ci powiem. Dla tego, że jest lekkomyślny i głupi, albo że w nic nie wierzy, choć na tem wychodzi jak Zabłocki na mydle. Możesz słyszał, że wielu pogan a i nawet chrześcian, co gorzej żyją jak poganie, przyspieszyło sobie śmierć i gwałtem wypędziło ze siebie biedną duszę: ten, że się tam gdzie w boru albo w komorze powiesił na stryczku, drugi, że nożem się przebił, albo podciął sobie brzytwą bardzo gładko i zgrabnie gardło, tamten, że ni z tąd ni zowąd palnął sobie w łeb kulką, ów zaś, że zażył arszeniku i otruł się nie przymierzając jak szczur, któremuś podłożył trucizny w stajni, albo gdzie ci się tam właśnie widziało. Ale ty tak nie masz się zuchwało i bardzo stawiać przeciwko śmierci. Albowiem jak ty sam wprzód, za nim cię Pan Bóg



z twego stanowiska na ziemi w swoim czasie odwoła, to stanowisko opuszczasz i przez gwałt pędzisz naprzeciw śmierci, to nie tylko że wpadniesz w długie a kościaste jej pazury ale ona śmierć jeszcze z swoim komoterkim, djabłem, podzieli się tobą. Śmierć weźmie twoje ciało, że ani mrukniesz, a duszę twoją, nie mogąc jej strawić, odda djabłu. Francuz to o takim samobójcy mówi zwyczajnie, że wyskakuje z tygła na węgle. I śmierć takiemu, to bodaj czy wyprawi taniec, albo muzykę, albo też słodkość na sercu i duszy.

A dalej widzisz, że taki, co to umarłych obłoczy w białą koszulę, jeśli ten umarły był ubogi, a w drogie szmaty bogatego pana, albo co to im groby na cmentarzu rozmierza i kopie, że to on z umarłym człowiekiem obchodzi się tak, jakby z snopkiem słomy, i nie jeden nieuczciwiara, to jeszcze przytem płata figle i chichy wyprawia. I to nie dla czego innego, jeno że ciągle prawie patrzy na umarłych. Więc też na nim nie wielkie już robią wrażenie. Ale i za to nie dałbym ani szeląga; boć widzisz sam, że to wcale nie dobrze, jeśli dusza stanie się nieczułą na wszystko, jak dzika świnia pokryta żywicą i grubą skórą. Kto sobie na chleb zarabia w ten sposób, że tam trupy obmywa, ubiera, albo je chowa do grobu, albo w inny sposób opędza się biedzie, to i ten przy śmierci i po śmierci przekona się, że ta śmierć ma jednakże ostre zęby i sztyletem swoim boleśnie kłuje, choć nie jeden, zwłaszcza przy dobrem zdrowiu, nie rad w to wierzy. Jabym chciał cię czegoś lepszego nauczyć, jak tylko nie bać się umarłych i śmierci. Ja tu zamyślam pouczyć cię tak, abyś już nigdy a nigdy nie potrzebował lękać się śmierci. Trzeba nam wyrwać z rąk śmierci truciznę i sztylet, aby już nigdy nie szkodziła i kłuła. Skoro się to zrobi, to śmierć nie będzie już tak straszną i brzydką na wejrzenie. Kto wie? może też znajdziemy w tem coś takiego, co nie jednego rozweseli i pocieszy, jak te gwiazdki świecące w ciemnej nocy. Ale uchwaj, Boże, żebyś miał myśleć, iż ja ci tu śmierć odmaluję jasno-niebiesko, i jej wyschłe kościśka okryję kwiecistą sukienką, jak to jest opisana w niektórych wyzłacanych książkach do nabożeństwa, na których



panowie i panie czytają jakoby modlitwę: o palmie pokoju, którą anioł śmierci do rąk podaje, o ciszy, która zalega groby, o zobaczeniu się wszystkich drogich i znajomych, którzy już naprzód tam poszli albo przyjdą później, o ojcu wiecznej miłości, który wszystkie słabości ludzkie zasłoną miłości pokrywa i każde podniesienie myśli wieczną wonnością odplaca. Takie gadaniny trącą bardzo pomadą i nie jedna słaba głowa dostanie od nich zawrotu. Jeśli ja cię mam wziąć w prawdziwą kuracyą, to ci śmierć nagą jak jest, na świetle dziennem pokażę, i musisz się dobrze przypatrzyć jej dołkom od ocz i białym żebrom. Nic nie szkodzi, jeśli cię cokolwiek dreszcz przejmie. Lepiej teraz, jak za późno lub nigdy. Więc do tego prowadzę, abys teraz dobrze uważał na opisanie moje, jak się to rzecz ma ze śmiercią i jak ona przychodzi.

Ciało człowieka jest bardzo kunsztownie złożone ze żył, z nerwów, mięśni, skóry, kości i kosteczek. I w tem ciełe są różne soki i maście i spirytusy, jakby w jakiej aptece. Na przykład, masz tam sok w żółtku, żółć, tłuszcz, ślinę, wodę, która ci jak płaczesz, z ocz się leje, krew i wiele innych różności. W tem tedy ciełe serce dzień i noc bije jak by młotem, to znów tam jakby miech kowalski jest w robocie, co ciągle dmie, jest ogrzewanie, gotowanie, chłodzenie, przeczyszczanie, tu i tam bieganie, rozciąganie i ściąganie i wiele jeszcze innych rzeczy się tam dzieje, o których ani ja, ani żaden, choćby jak najmądrzy doktór, nie wie. W ciełe każda rzecz i najmniejsza ma swoje szczególne zatrudnienie i co najdziwniejsza, że między tylu robotnikami nie powstaje żadna kłótnia i zamieszanie: wszystko w porządku i zgodzie idzie swoją drogą. Tem wszystkim, co się w naszym ciełe dzieje, jakoby w jakiej fabryce, nie my rządzymy i kierujemy; wszystko na własny rachunek pracuje. Ale nie myśl, żeby ci robotnicy nie mieli swego pana, któryby nad nimi nie czuwał, choćby może co chwila się kłócili, na czembyś ty najgorzej wyszedł. O, mają oni takiego kierownika, choć go ty nie widzisz.

Ale do czego to prowadzisz? zapytasz się może. Oto



do tego, że jak w tej fabryce coś kolwiek się zabłąka i zmyli drogę swoją niech jeno do mózgu albo do nerw kropla soku przesączy, albo niech krew za nadto albo za mało przy gotowaniu doprawisz, niech żołądek sobie sprzykrzy przetrwać tyle jadła i napoju, albo niech jaki zastarzały ból w nodze posunie się ku piersiom: to już, bracie, po tobie, choćbyś niewiem co dokazywał.

Nie potrzeba ci wspominać, jak to często spotkać może ciało jakie nieszczęście z zewnątrz pochodzące. Możesz spaść z drzewa i kark sobie skrócić, na kolei żelaznej możesz zniknąć, ani się spodziewasz, kąpiąc się w rzece, możesz się utopić, albo znowu źle będziesz strzelał lub nie będziesz umiał się obejść z fuzą i ... któżby już tam wszystkie przypadki wyliczył.

Ciąg dalszy nastąpi.

---

## Bartosz Głowacki.

Napisał Piotr Zbrozek.

---

Ciąg dalszy.

Na rynku stawiano wzniesienie. Ot tak, jak w kościele przed wielkim ołtarzem. Tam miał Kościuszek składać przysięgę całemu narodowi. W nocy w ratuszu zebrani starsi z narodu dali mu dekret na naczelnika powstania. Na naczelnika wojska naszego, co miało się zbierać i pędzić nieprzyjaciół z ziemi ojczystej. Teraz z rana miał Kościuszek przysięgać, że będzie służyć narodowi, a nie królowi, ani obcemu monarsze. Bartosz prędko wrócił z gospody. Było już bardzo dużo ludzi, ale on przecie jeszcze stanął niedaleko owego podniesienia z deszczek. Naraz ukazał się naczelnik Kościuszek. Najpierwej kilka głosów krzyknęło, a potem cały naród zawołał: „Niech żyje nasz Naczelnik! Niech żyje!” Rozstępowali się wszyscy i Kościuszek stanął na



podwyższeniu. Teraz go dobrze widział i Bartosz. Nie mogli się uspokoić ludzie, tak serdecznie wszyscy Naczelnika kochali. Bartosz tak, jak inni zapatrzył się na niego, jak w najświętszy obraz, i — niech żyje! powtarzał z wszystkimi. Kościuszkę stał, jak święty. Rozradowany, chciał by cały naród przycisnąć do serca, a potem wziąć za broń i wypędzić wroga z ojczyzny. Słuszny, bez wąsów i brody, w białej krakowskiej sukmanie. Wyglądał jak chłop krakowski. Zdjął czapkę z głowy. Wszyscy ucichli na raz. Na całym rynku tak było cicho, że słychać było w górze szelest skrzydeł orła, co wzbił się nad Krakowem, jak dobra wróżba. I słychać było w tłumie, kiedy kto głośniejsze zakaszłał. Pan Naczelnik wznosił prawą rękę w górę. Składa narodo-  
wi przysięgę:

— Ja Tadeusz Kościuszkę przysięgam — w obliczu Boga — naszemu całemu Narodowi, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Jego!

Potem mówił dalej. Zrobiliście mnie Naczelnikiem swoim. Przysięgałem że was nie opuszczę i bronić będę tej naszej świętej ziemi od napaści wrogów. Wzywam i Was jako Naczelnik, abyście wszyscy także dla tej ziemi dawali, co kto może. Kto bogaty, niech da pieniędzy, kto silny, niech weźmie broń w rękę i staje do szeregu. Niech każdy pamięta, że tylko razem możemy się uwolnić od wrogów. Chłop i pan, żyd, luter i katolik, Mazur, Rusin i Litwin, wszyscyśmy dziećmi tej ziemi. Ona wszystkich nas karmi, a my jej wszyscy służyć powinni.

---

Bartosz czekał do wieczora. Za dnia niechciał wyjeżdżać, aby gdzie nie napotkać Moskali. Dobry zmrok padał, kiedy nasz gospodarz wyjeżdżał z miasta. Rano już był w domu. Zona jego młoda kobieta witała się z nim i cieszyła, a oglądała gościńce, co dla niej przywiózł mąż z Krakowa. Dwoje małych dzieci przybiegło do naszego gospoda-



rza, a on je ściska i pieści, daje pierniczki i obwarzanki. Dobry gospodarz pamiętał o wszystkim. Popatrzył na ogród, był w stodole i w komorze, a potem wybrał się do sąsiadów. Sam tej wiosny orać nie będzie. Kościuszko mówił na rynku w Krakowie, że każdy iść powinien bronić świętej ziemi kto tylko ma zdrowe ręce. A Bartosz Głowacki ma bardzo zdrowe ręce i silne do tego. Nikt go we wsi nie zaczepi nawet po pijanemu. Bo on najsilniejszy. A człowiek rozumny i pracowity. Powiadają nawet, że ma uzbierane pieniądze. Teraz pójdzie na Moskala. Nie darmo kosy kupował. Ale nim wyjdzie chce rozporządzić swoim dobytkiem. Ma krowy i woły i parę koników. Ma rolę i ogród i chatę, a któż tego doglądnie, gdy wyjdzie. Najpierwej poszedł do sąsiada i prosił go, aby mu pole zaorał i obsiał.

A czemuż sami orać nie chcecie Bartoszu, zapytał sąsiad.

Na to mu Bartosz odpowiedział: Mam ja zdrowe ręce i jestem młody, ale wypadła mi sprawa w Krakowie, to jej muszę dopilnować. A kto wie, człowiek wróci może już będzie za późno. A w domu żona i dwoje dzieci. Darowizny niechcę, i zapłacę wam sumiennie.

— To dobrze powiedział sąsiad, ja wam pole zaorzę. Wy mi za to chcecie zapłacić, ale ja niechcę. Dobrze, dobrze, ja stary, może już tylko parę lat pociągnę, pójdziecie za moim pogrzebem i to będzie moja zapłata.

— Ależ sąsiedzie, Bóg wie kto z nas pierwszej w ziemi się położy. Co do zapłaty, to darowizny nie chcę. Co to, ja żebrak? Czas każdemu drogi, i każdego kosztuje. Wy macie także dzieci, co nie zjecie sami, to dla nich zostanie. Gdybym ja dla was robił, także bym sobie kazał zapłacić, ale bym swojej roboty pewnie się nie powstydział.

— Dobrze Bartoszu, prawdę mówicie. Was zawsze warto posłuchać. Zaorzę wam pole i zapłatę wezmę i chudoby wam doglądne. Ale co to za sprawę macie w Krakowie?

— Powiedziałbym wam, ale to długa historia. Teraz



muszę pójść do kowala. I we dworze także być potrzeb, bo mi coś dziecko nie zdrowe. Poradzę się pani i lekarstwo wezmę. Bądźcie zdrowi! Tak kończył i wychodził z izby sąsiada.

— Niech Bóg prowadzi.

Bartosz wstąpił do domu, wziął kosy zawinięte w słomę, obszyte grubem płótnem i puścił się do kowala.

— Dzień dobry kumie! krzyknął wchodząc do kuźni.

Kowal kiwnął głową, ale nie odstępował od kowadła. Obracał obcęgami kawał czerwonego rozpalonego żelaza, a walił młotem, że aż iskry leciały. Bartosz rzucił zwinięte kosy na ziemię i czekał, aż majster ukończył robotę. Po chwili kowal rzucił gotową podkowę i obrócił się do naszego gospodarza.

— Jak się macie kumie. Człowiek pracuje, — trzeba kuć żelazo póki ciepłe.

— To prawda, trzeba kuć póki czas, póki pora. Przyносzę wam bardzo pilną robotę. W Krakowie już nie ma Moskali. Tam już naród wolny, a Pan Kościuszko jest Naczelnikiem. Poprowadzi nas na wroga. Wczoraj byłem w Krakowie i słyszałem jak przysięgał nikomu innemu nie służyć tylko narodowi i tej świętej ziemi naszej!

— O mój serdeczny Bartoszu! mówił kowal, całował Bartosza i ścisnął twarde rękami. O Boże kochany! Naczelnik Kościuszko! Kraków wolny i my wypędzimy Moskali. — No i cóż Bartoszu pójdziemy? Człowiekowi łyzy się do ocz cisną od wielkiej radości!

— Pójdziemy jak najprędzej. Widzicie przyniosłem kosy. To mówiąc dobył noża, popruł płótno, rozwinał słomę i wysypała się cała kupa błyszczących kos, jak lustro. A brzęczały tak miło, aż za serce chwyta, jak najładniejsza muzyka. Bartoszowi w oczach iskry błyszczały i zawołał: „Ot nasza broń, pójdziemy kosić Moskale. Poprostujcie te kosy. Powbijamy na tyki i do Krakowa, do Naczelnika!

— Bodaj wam Bóg dał zdrowie! To u mnie najpilniejsza robota, mówił kowal. — Nasz Bartłomiej powiedział jeszcze: Bądźcie zdrowi! Wieczorem przyjdę z tykami, i wyszedł.



Teraz zajrzał do jednej chaty, do drugiej i do trzeciej, gdzie także tęgie zuchy mieszkali, coś z nimi poszeptał i odchodził. Już i południe, poszedł więc do domu, zjadł obiad i wybrał się dalej. W stajni przerzucił worek siana przez konia i przywiązał. Konik nie wielki na oko, ale okrągły, dobrze karmiony. Dziś wrócił z drogi, myśli sobie gospodarz, lecz gdy potrzeba, to nie ma rady. Wyszła Bartoszowa chciała coś mówić. On już wyjeżdżał za bramę i pędził drogą aż się zakurzyło. Biedna kobieta, młoda i ładniejsza niż nie jedna dziewczyna, posmutniała a oczy we łzach stoją. Coś nie daremnie mąż tak się uwija, a nic nie mówi. Musi być coś nie dobrego. Tak sobie myśli, a patrzy za swoim. Na drodze któregoś pojechał już tylko czarnieje, coraz mniejszy, — wjechał w lasy i już go nie widać. Pewnie niebawem wróci. Że też mi nic nie mówi! Trochę jeszcze stała. Patrzyła niebieskimi oczyma w las. Chciała przejrzeć aż na drugą stronę, ale daremnie. Więc już wraca do izby aby się zakręcić koło gospodarstwa. — Słońce idzie po niebie, a niebo jasne, a w powietrzu ptaszki śpiewają. Dzieci bawią się po wsi, bocian chodzi po łące. Ludzie jeszcze nie orzą, ale już zaczną pewnie jutro, pojutrze. Taki to dzień wiosenny na wiosnę cichy, ciepły i szczęśliwy.

Już słońce zachodziło, kiedy Bartosz zajechał przed wrota. Wyszła Bartoszowa i dzieci wybiegły. On jakoś był dziś serdeczniejszy, żonę ściska i całuje, tak jakby się z rok już z nią nie widział. I ona zarzuciła mu rączki na szyję, bo także było jej przez całe popołudnie bardzo smutno. Weszli do izby. Bartosz kazał zgotować wieczerzę. Tymczasem poszedł do skrzyni i wyjął z niej pieniądze. — Słuchajno — powiedział do żony — moja ty serdeczna, tu mam sto dukatów złotem. Tymi pieniędzmi się podzielimy. Pięćdziesiąt dam panu Kościuszcze Naczelnikowi, co nas poprowadzi na Moskalą. Na wojnie potrzeba dużo pieniędzy. Pięćdziesiąt zostawiam tobie. Będziesz potrzebować obrobić pole, i w domu zawsze pieniędzy potrzeba. Ja pójdę także do pana Naczelnika, aby mię przyjął do wojska narodowego.



Rozpłakała się biedna kobieta. — Mój Boże jedyny, a cóż ja bez ciebie pocznę Bartoszu. Porzucasz mnie i dzieci? Mamy zostać biedne sierotami?

Nie płacz kobieto, na to jej on odpowiada. Da Bóg po wojnie wróć znowu do ciebie i do naszych dzieci i do tego ojcowego domu. Dziś człowiek niepewny, ani żony ani dzieci, ani majątku. Wiesz przecie, co Moskale dokazują, palą wsie i zabijają ludzi niewinnych, a gdy ich z naszej ziemi wypędzimy, będziemy żyć szczęśliwie. Siadajno moja serdeczna i nie płacz, moja ty jedyna. Człowiek nie byłby wart, żeby go ta święta ziemia nosiła i karmiła, gdyby się pozwolił tak poniewierać. A co to ja na Moskala pracuję? A on niema swojego kraju? Ja do niego nie pójdę, ale niech mi Bóg najwyższy doda siły, abym trzepał uczciwie za nasze krzywdy. Czy to my bydłeta, nie ludzie, abyśmy cierpieli tu nad sobą cudze panowanie? A przecie my mamy własnego króla w Warszawie i własne wojsko, a tylko stańmy, to z naszej ojczyzny wszystkich wrogów wyrzucimy.

Bartoszowa słuchała. Nic już nie mówi tylko, cicho płacze i łzy fartuszkciem przeciera. Dała wiecezrę, a była spóźniona pora. Bartosz jadł milczący, potem wstał i powiedział:

Już czas — o północy mam być za lasem pod figurą kamienną. Tam się zejdą chłopcy z naszej wsi i ze sąsiednich, com im dał wiedzieć, że czas już iść na wojnę. Bartoszowa załamała ręce i głośno zapłakała. — Właśnie skrzypnęły drzwi, a na progu stanął kowal. — Już wszystko gotowe, nasze parobki czekają koło kuźni. Kosy poprostowałem i nabiłem na tyki. Dalibóg! dobra broń, jest co w garść chwycić. Wybaczcie Bartoszowa żem was nie pozdrowił, ale to najważniejsza sprawa bić Moskala. Ja także idę i już w domu pożegnałem się z moją. Pan Bóg łaskaw — wrócimy po wojnie. Bartoszowa wie, że co jej mąż robi to pewnie dobre, ale płacze, zwyczajnie kobieta. Pożegnał ją Bartosz Głowacki i śpiące dzieci i wyszedł. Na progu jeszcze się obrócił i powiedział: Niech was Bóg ma w swojej opiece.



Na dworze ciemno. Niebo zasunęło się czarnymi chmurami. Po wsi w okienkach świecą światelka. Bartosz z kowalem przyszedł pod kuźnię. Kowal trzy razy gwiznął i z zadomu wysunęło się dużo ludzi. Chłop w chłopów silny, barczysty z kosą w ręku, każda prosto nabita na tyczkę. — Chodźmy za las pod figurę, tam nas już pewnie czekają — powiedział Bartosz. Ale uważajcie aby kosy nie zawadzały jedna o drugą i nie dzwoniły. Może gdzie po drodze mały patrol moskiewskich kozaków się pokaże, to zaraz zaprawimy nasze kosy.

Ciemniuteńko, ale kosarze znają dobrze drogę przez las i pewnie nie zblądzą. Kowal z nimi; wziął także kosę, ale nie zwyczajną, tylko rzezak od sieczki sprostował i nabił, bo mówił, że kosa dla niego za lekka. Głowacki także ma kosę a idzie na przodzie. Aż się dusza raduje tak im jakoś wesoło, choć nic nie mówią. Tak im krew do głowy bije, tak by już chcieli spróbować broni na karkach moskiewskich. Tak się cieszą, że ujrzą pana Kościuszkę. Przeszli las, za lasem figura. Teraz jej nawet nie widać bo ciemno. Bartosz trzy razy w dłonie zaklaskał i słucha, aż znowu słyhać było jakby kruk trzy razy zakrakał. Nie kruk to krakał, ale to parobcy ze wsi sąsiedniej stoją i czekają na Bartka. I przyszedł nasi z Rzędowic i znowu kole figury stanęli i jeszcze czekają. Mają przyjść jeszcze z dwóch wiosek. Znowu po krótkim czasie ktoś zakrakał trzy razy, a z pod figury mu odklasnęli.

Już się razem zebrali, a była ich dobra garstka, bo siedmdziesięciu kilku. I znowu Bartosz powiedział: Pewnie już wszyscy jesteśmy, bo choć ciemno i nie widzę, ale chłopcy nasze zawsze staną, gdy potrzeba. Ruszajmy w drogę. Jutro powinniśmy być w Krakowie. Ale spokojnie niech żaden głośno nie gada, abyśmy słyszeli, czy kto nadjedzie, czy nadejdzie. Kto wie może się tu gdzie Moskal kręci. Jeżeli cicho go zajdziemy, to pokosimy, a gdyby on nas niespodzianie napadł, mógłby nas także potrząpać.

Rozumnie radzi. Wszyscy go słuchają. Idą i idą, już i noc mija. Chmury się przecierają, a na wschodzie już bia-



ławie niebo. O wschodzie słońca staniemy odpocząć. Idą dalej, już się rozwidnia. Czerwono na chmurach, chłodno w powietrzu. Dochodzą do karczmy przy drodze i słońce się już wytoczyło. Odbija się w błyszczących kosach. Nasi chłopcy poprawiają na głowach czerwone czapeczki, obcierają kosy z rosy w poły białych sukmanek. Weselej im już teraz. Mówią głośno i żartują i śmieją się. Stanęli przed karczmą, pukają w okna budzą szynkarza. Wstawajcie a otwórzcie bramę.

Skrzypnęła szeroka brama. W karczmie stoi gruby zaspany gospodarz. O! a to pan Bartosz, zawołał.

— Jak się macie kumie Stanisławie, odpowiedział Bartłomiej Głowacki. A dajcie nam wódki, niech się ogrzejemy. Ja płacę za wszystkich, razem idziemy na robotę. A nie słysząc tu gdzie koło was o Moskalach?

Już od kilku dni nie widziałem panie Bartłomiej, odpowiedział karczmarz Stanisław. Koło nas ich nigdzie nie ma. Powiadają że ich tam gdzieś nasz jenerał Madaliński przetrzepał. A w Krakowie pan Naczelnik Kościuszko zbiera naszych. Podobno już będzie koniec temu nieszczęściu i Moskali wypędzimy z naszej ziemi.

Tymczasem zuchy kosarze stawiają kosy szeregiem w dużej sieni, a sami wchodzą do izby. Piją wódkę i dobierają to chleba, to sera, to kawał słoniny, bo każdy wychodząc z domu wziął sobie coś do jedzenia na drogę. Jaki taki położył się na ziemi i zasnął, a drudzy jeszcze siedzą i radzą, to o domu, to o wojnie, aż ich sen zmorzył i także pokotem, gdzie który może układają się do wypoczynku. — Nagle wpada jeden ze dworu i woła. Jakieś wojsko idzie. Bartosz stanął na równe nogi i krzyknął.

Wstawajcie bracia do kosy. Może to Moskale.

Wszyscy słuchają co im Głowacki rozkazuje. Stoją w sieni i czekają. On sam stanął przy oknie i patrzy. Po gościńcu jedzie wojsko. Pałasze świecą do słońca. Po nad głowami jeźdźców sterczą wysokie piki z chorągiewkami. To nasi, pomyślał. Każe otwierać bramę. Przed tamtem wojskiem jedzie starszy na przedzie. Już stanął przed karczmą. W progu stoi kilku chłopów z kosami.



— Dzień dobry! Bracia! zawołał starszy. Co wy tak wcześnie z wiosną kosić będziecie?

— Oj nie wcześnie, bo już dawno czas było pokosić Moskali za nasze krzywdy. Na taką wyszliśmy kośbę. Idziemy do Krakowa do pana Naczelnika.

— Daj wam Boże zdrowie! I my także jedziemy do pana Naczelnika. Jedna droga więc razem pójdziemy. Ale toście nieostróżni. Trzeba przecie postawić kogoś na warcie, aby nie zasłi nas niespodzianie Moskale. Wy o tem nie wiedzieliście, to ja zrobię. **Bibl. Jag.**

Wiejscy kosarze wrócili do izby, i znowu pokładli się na odpoczynek. Do drugiego pokoju poszli ułani powiązawszy konie do żłobów. Jch starszy zdaleka od karczmy porozstawiał warty. Może dwie godziny minęło, nim wszyscy ruszyli z miejsca. Idą wesoło, słońce świeci, kosy błyszczą, szable brzęczą i ostrogi, wieja chorągiewki. Już stanęli pod miastem. Biała Wisła płynie z góry a wieże kościołów gdzieś wysoko sterczą w niebo i świecą krzyżami. W mieście zdala zobaczyli jakieś wojsko, naprzeciw wyjechali i witają naszych kosarzy, jak rodzonych braci. — Już idą przez ulice. Szeregiem stoją kamienice wysokie, czarne od starości. Wszystkie okna pootwierane. W każdym stoi mnóstwo panienek a tak się cieszą! Do tych kos błyszczących i do naszych kosarzy wieją białymi chustkami śliczne dziewczęta. I na ulicy ścisk wielki, stoją mieszczanie starzy i dzieci, wołając radośnie: Witajcie bracia! Witajcie kosarze!

Kosarze każą się zaprowadzić do pana Naczelnika. Wyszedł pan Naczelnik, w takiej samej białej sukmanie jak nasi kosarze. Pozdejmowali czapki a Bartłomiej tak mówił:

— Panie Naczelniku! My prości ludzie, kochamy tę świętą ziemię, co nas wykarmiła. Cały naród za broń bierze, aby wypędzić Moskala. I my ten sam naród, choć nie chodzimy w jedwabiach. Niech panowie idą ze strzelbami i na koniach, bo im wystarcza pieniędzy. My za to mamy zdrowe nogi, silne ręce i błyszczące kosy.

Na to pan Kościuszko mu odpowiada: Na was wieśniacy główna siła narodu. Gromada wielki człowiek, a



gdy nas wszystkich Moskał poniewiera, to wszyscy razem weźmy się za ręce, a będziemy wolnymi i szczęśliwymi. Jeszcze zostaniemy kilka dni w Krakowie. Miasto wam da pomieszkanie i utrzymanie. Skończył mówić obrócił się do starszyny, co koło niego stała i wydawał rozkazy, aby wypoczęli. A oni patrzą na niego jak w cudowny obraz.

Wystąpił Bartosz z gromady, widać że chce coś mówić, ale nie wie, jak ma począć. Widzi to pan Kościuszko, zbliża się do niego i pyta, co ma do powiedzenia? Mam ja, mówi Głowacki, pięćdziesiąt dukatów, i chcę je oddać na potrzeby narodowe. Widać musiało się to bardzo podobać panu Naczelnikowi, bo ścisnął Bartosza za rękę i powiedział: Gdy będziemy wolni, to ci ojczyzna ten dar odda stokrotnie. Tymczasem przybliżył się jeden z tych, co koło nich stali, wziął pieniądze i zapisał do książki.

Pan Naczelnik poszedł do siebie dalej pracować. Ma też wiele do czynienia. Cały kraj i naród teraz na jego głowie. Powiadają, że już od wschodu słońca na nogach. Kosarze poszli za jakimś starszym, co ich wprowadził do pięknej kamienicy. Tam już byli, aż do wyjścia z Krakowa. Przez kilka dni jeszcze w mieście stali. Co dnia z rana i po obiedzie chodzili na musztrę. Nauczyli się tak maszerować jak wojsko, i tak zachodzić. Wszyscy nazywali ich kosynierami, a w książkach wojskowych napisali ich: krakowscy grenadyery.

Dokończenie nastąpi.

## Święta Felicyta i Jej siedmiu synów.

Nie jeden z was, mili czytelnicy, widział zapewne matkę przy łożu umierającego dziecka i patrzył z wzruszeniem jako ono łzawem okiem szuka wzroku matki, by go pocieszyła, pokrzepiła i sił mu dodała. O! nieraz zapewne podobny widok przedstawił się oczom waszym. O wtedy poznaliście, ile to siły i miłości mieści się w sercu macierzyńskim. W dniach szczęścia i zdrowia zdaje się, że ona tylko żyje dla rodziny, w chwilach niebezpieczeństwa sama na swych barkach dźwigać a przy łożu śmiertelnem życieby oddała za życie dziecka swego. Lecz bardziej jeszcze godna podziwiania miłość tej matki, która więcej ceni życie wieczne dziecka swego, jak doczesne i gotowa poświęcić to doczesne życie — byle zapewnić temuż wieczne. Do takich matek należała właśnie św. Felicyta.

Zyla ona w drugim wieku po narodzeniu Chrystusa Pa-



na, za panowania cesarza Antonina. Wśród srogich przesładowań za wiarę, zawezwano i ją jako chrześciankę przed Publius, prefekta rzymskiego, który tak przemówił do tej niewiasty szlachetnego rodu: — Kazałem cię przywołać, aby ci dać dobrą radę. Jestem przyjacielem twojej rodziny i pragnę dobra twego i twoich dzieci. Usłyszawszy te słowa Felicita zrozumiała o co idzie; serce jej chrześciańskie uczuło wielką radość, a podniosłszy wzrok do nieba prosiła gorąco Zbawiciela swego Jezusa Chrystusa by jej dał sił potrzebnych do wytrwania. Prefekt prowadził rzecz dalej. — Nasi kapłani — mówił on — skarżą się nie bez przyczyny, że wyznajesz publicznie ze śmiałością, szkodliwą wiarę chrześcian. Cesarz sam został o tem uwiadomiony i w jego to imieniu wzywam cię, abyś powróciła do czci naszych bogów. — Ja zaprzecić się mego Zbawiciela, porzucić prawdę i światło dla kłamstwa i ciemności? tego nie zrobię nigdy. — Felicito upamiętaj się! jesteś matką. — Mam nadzieję w Bogu, że dzieci moje wytrwają w tej samej wierze co i ja. — Ależ nieszczęśliwa kobieto, pamiętaj że tu idzie o hańbę, o tortury, o śmierć najokrutniejszą. — Będziemy i za to wszystko błogosławić niebo i pójdziemy szukać nagrody u Ojca Niebieskiego, odrzekła spokojnie Felicita. — Kiedy tak — rzekł zniecierpliwiony Publius, kiedy nie ma sposobu, by cię upamiętać, zobaczymy czy później nie okażesz się rozsądniejszą i powolniejszą. W kilka godzin później Felicita i jej siedm synów zostali odprowadzeni do więzienia. Weszli tam wszyscy z świętą nadzieją w sercach, z tajemną radością na twarzy. Nazajutrz tłum ludu obległ świątynię bożka Marsa, gdzie się odprawiały publiczne sądy na chrześcian. O godzinie naznaczonej przyprowadzono Felicitę i jej synów na publiczne miejsce. Wkrótce przybył prefekt Publius, poprzedzony rozmaitego rodzaju siepaczami i usiadł na wielkiem krześle ustawionem na podwyższeniu. Cisza zapanała, posłuchanie się rozpoczęło. Sędzia chcąc się popisać przed tłumem wymową, używał rozmaitych słów, by nakłonić Felicitę i jej synów do zaparcia się Chrystusa. Zapewniał on Felicitę, że jeżeli jej synowie wrócą do czci bogów pogańskich, otrzymają najwyższe urzędy, godności i bogactwa. — Na miłość macierzyńską zaklinam cię, mówił on, zmiłuj się nad twemi dziećmi. — Twoja litość, odrzekła pobożna niewiasta, jest prawdziwą bezbożnością, i gdybym się dała uwieść twemi słowy, byłabym najokrutniejszą matką. Patrzcie na niebo dzieci moje, mówiła zwracając się do sy-



nów, Pan Jezus was tam oczekuje w towarzystwie świętych swoich, wytrwajcie w jego miłości, walczcie o nią, byście ochronili dusze wasze od potępienia wiecznego. — Ależ zaledwie skończyła mówić, rozkazał ją Publius opoliczkować. Straciwszy nadzieję pozyskania tej świętej niewiasty, myślał Publius, że między siedmiu jej synami, z których trzech było bardzo w młodym wieku, znajdzie się przynajmniej jeden, którego skłoni do odstępstwa, a którego przykład na drugich działać będzie. Zaczął przeto od najstarszego imieniem Januarego. Przemawia do niego, ale odpowiedź śmiała i godna podziwienia, którą otrzymał, zniszczyła jego nadzieje. — To, co mi każesz uczynić, rzekł January, jest przeciwne rozumowi. Mam nadzieję w Jezusie Chrystusie, że mnie ochroni od bezbożności, do której mnie namawiasz. Prefekt rozgniewany kazał go okrutnie siec różgami i wrzucić do więzienia, a natomiast wyprowadzić drugiego imieniem Feliksa.

— Jest tylko jeden Bóg, rzekł święty młodzieniec, i jemu tylko mamy z serc naszych ofiarę czynić. Nigdy nie zaprzemy się miłości i czci, którąśmy mu winni. Użycie wszystkich waszych okrucieństw, nigdy jednak nie potraficie wyrwać z serc naszych wiary którą wyznajemy. I tak odpowiadali wszyscy, a najmłodszy z nich, dziecko prawie, wyrzekł: — Wszyscy którzy nie wyznają, że Jezus Chrystus jest prawdziwym Bogiem będą wrzuceni do ognia wiecznego. Wkrótce skończyło się posłuchanie, męczennicy zostali oćwiczni różgami, a potem odprowadzeni do więzienia, i odesłani do samego cesarza. Cesarz Antonin, przeczytawszy cały protokół tej sprawy, rozkazał rozłączyć braci, w nadziei, że gdy nie będą jedni przez drugich zachęcani do stałości, łatwiej z nimi przyjdzie do końca. Rozkazał też, gdy przyjdzie do męczenia ich, aby męczono na końcu matkę; zdawało mu się bowiem, że śmierć pierwszych jej synów wstrząsając jej czułość macierzyńską, osłabi jej odwagę i skłoni ją do namówienia młodszych do czci fałszywych bogów. Odesłano więc młodych wyznawców wiary chrześcijańskiej do rozmaitych sędziów, ale każdy z osobna wybrał Chrystusa i został na śmierć skazany. January pierwszy był ubity na śmierć biczami rzemiennemi, na których były kule ołowiane. Felix i Filip zamordowani dużemi pałkami. Sylwian, czwarty z kolei, został wrzucony do głębokiej przepaści. Aleksander, Vitalis i Martial, najmłodszy, zostali ścięci. Święta ich matka zakończyła życie swe tą samą męką we cztery miesiące po śmierci ostatniego dziecka swego.